

Kamil Chmielewski



Skarb

wydanie kieszonkowe

Skarb

Copyright © by Dark Boat, 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii

i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wszystkie podobieństwa do prawdziwych instytucji są przypadkowe.

Tekst jest w całości fikcją literacką. Nazwiska prawdziwych osób i nazwy marek

nie są wciągnięte w wątek fabularny i ich wykorzystanie nie ma na celu obrażenia tych osób, ani reklamowania lub antyreklamowania marek. Są to nazwiska i nazwy powszechnie znane i występujące w sferze polskiej i zagranicznej popkultury.

Wydanie I, Łódź 2025

ISBN: 978-83-978084-4-7

Redakcja i korekta: Anna Drabowicz-Wiśniak

Skład i konwersja do wersji elektronicznej: Karol Łukomiak

Skład okładki: Paweł Miszczuk

Ilustracja okładki: Michał Karol Borzuchowski

Wydawnictwo Dark Boat

email: wydawnictwo@darkbiat.pl

Instagram: [@wydawnictwodarkboat](https://www.instagram.com/wydawnictwodarkboat)

Wtorek

Na miejsce dotarła po godzinie dwudziestej, kiedy było już dosyć ciemno. Wyszła z PKS-u, odebrała walizkę od kierowcy i natychmiast poczuła chłód wilgotnego powietrza. Choć była to tylko mżawka, w połączeniu z porywistym wiatrem potęgowała uczucie zimna. Żółtawe światło starych ulicznych lamp pogłębiało wrażenie szaryzny. Widoczność była marna.

W Warszawie, skąd przyjechała, latarnie były nowoczesne. Od kilku lat miasto sukcesywnie wymieniało oświetlenie na LED-y. Dzięki temu

oszczędzano na rachunkach, mieszkańcy czuli się bezpieczniej, a rządzący mieli się czym chwalić przed kolejnymi wyborami. Ale Orków nie miał tyle szczęścia.

Miasteczko, które liczyło dwa i pół tysiąca mieszkańców, wciąż tkwiło w przeszłości. Nieco przekrzywioną wiatę przystankową z plastikową ławką i wyblakłym rozkładem jazdy oświetlała tylko jedna lampa na betonowym słupie, pamiętającym zapewne czasy PRL-u. Kolejne światło tliło się po drugiej stronie drogi, obok zabudowy usługowej, do której Lena postanowiła pójść. Nie pamiętała drogi do domu ciotki, bo pamiętać nie mogła.

Rozejrzała się i dostrzegła punkt apteczny z zielonym krzyżem w oknie i skromnym sztylsem, a dalej przychodnię lekarską, przypominającą bardziej przerośnięty dom z dzwonkiem przy drzwiach niż prawdziwą placówkę medyczną. Na kolejnym budynku z drewnianym gankiem mieścił się napis „Dom kultury w Orkowie”.

Nad szybą po lewej stronie dostrzegła napis „Biblioteka”, a po prawej „Klub Seniora”. Nieco dalej ulokowano budynek policji. Niewielki, bo dwukondygnacyjny klocek z obowiązkowym radiowozem zaparkowanym z boku. Za nim znajdowała się Ochotnicza Straż Pożarna. Na samym końcu niewielkiego placu stał otwarty o tej porze sklep wielobranżowy, w którym można było kupić artykuły spożywcze, przemysłowe, chemiczne – typowe mydło i powidło.

W mieście zamówiłaby taksówkę albo skorzystałaby z komunikacji miejskiej, ale tutaj nikt nie prowadził takiej działalności. Pozostawał tylko przysłowiowy przewodnik w nieznanym miejscu, czyli język.

Kiedy dziewczyna przecinała ulicę, kuląc się pod naporem zimnego wiatru i deszczu, zastanawiała się, czy naprawdę dobrze zrobiła, przyjeżdżając tutaj o tej porze.

To był impuls. Rano, po tym jak szef po raz kolejny bez przyczyny nakrzyczał na nią

przy całym zespole, nie wytrzymała. Wypaliła, że odchodzi. Nie mając zamiaru dotrwać w tym miejscu do końca wypowiedzenia, wzięła urlop. Gdyby tego nie zrobiła, mogłaby skapitulować. Obawiała się, że jak ochłonie, to się złamie, a wtedy znów zostanie w pracy, która ją wyniszczała. Dlatego postanowiła odejść w trybie natychmiastowym.

Dzień wcześniej dostała wiadomość, że ciotka jej zmarłego ojca umarła i zostawiła jej spadek.

Ostatni raz Lena była w Orkowie jako dwięcioletnia dziewczynka, czyli równo dwadzieścia lat temu. Przyjechała tutaj na tygodniowe lub na dziesięciodniowe wakacje z rodzicami i starszym bratem, zatem nie mogło jej dziwić, że wspomnienia są zamglone. U notariusza dowiedziała się, że dom ma sześćdziesiąt metrów kwadratowych, a działka tysiąc trzysta. Żadnych maszyn, samochodów i zwierząt. Na działce znajdują się tylko dom, stodoła oraz komórka.

Lena była singielką, więc nie miała się nad czym długo zastanawiać. Spakowała się do jednej walizki oraz plecaka, kupiła bilet na autobus do Zamościa i ruszyła w podróż, by zobaczyć, co dostała. Podejrzewała, że dom może być w złym stanie, ale jeśli nadawałby się do sprzedaży, mogłaby zyskać choćby pół miliona. To może wystarczyłoby, żeby kupić małe mieszkanko w Warszawie.

Lena do stolicy przyjechała od razu po maturze. Ukończyła studia i jako magister z finansów i rachunkowości zaczęła pracować w jednej z zagranicznych korporacji na niskim stanowisku. To była jej pierwsza praca i zapewne długo jeszcze by jej nie zmieniała, gdyby nie wiadomość o spadku. Dwudziestodziewięciolatka cały czas mieszkała w wynajętym pokoju, jakby wciąż była studentką. Kuchnię i łazienkę dzieliła z obcymi ludźmi, którzy zmieniali się częściej niż lokatorzy w reality show, a ona nieprzerwanie zamieszkiwała to mieszkanie od dziesięciu już lat.

– Wie pani może jak dojść na ulicę Szkolną? – spytała ekspedientki w sklepie.

– A jaki numer? Bo Szkolna jest przedzielona Główną i część numerów jest po lewej, a druga część po prawej stronie.

– Trzydzieści pięć.

– Trzydzieści pięć? – Zdziwiła się sprzedawczyni. – Przecież tam nikt nie mieszka. Tydzień temu zmarła stara wariatka.

– To moja ciotka.

– Przepraszam, nie wiedziałam. – Ekspedientce zrobiło się głupio. – Ale pani ciotka od kilku lat była...– Kobieta w granatowym fartuchu szukała odpowiedniego słowa. – Zdziwaczała. Mówiła o swoim synu, a każdy wiedział, że żadnych dzieci nigdy nie miała. Nawet nikt jej nie odwiedzał, no może oprócz księdza. Stara panna bez dalszej rodziny. Trochę mi jej szkoda było, jak kupowała u mnie jakieś rzeczy dla niemowlaka, ale co zrobić? Pieniądz przecież nie śmierdzi, więc jej sprzedawałam. Kiedyś to była piękna i mądra

kobieta. Pracowała w naszej bibliotece, dawała korepetycje z polskiego. Eh...jak to mówią, panu Bogu starość nie wyszła.

– To jak tam dojść?

– Już tłumaczę. To nawet niedaleko. Pójdzie pani prosto główną ulicą. – Miejskowa wskazała ręką kierunek. – Jakies dwieście, trzysta metrów, a potem skręci pani w prawo. Jej dom jest ostatni przed lasem.

– Dziękuję. Poproszę wodę niegazowaną i trzy banany. – Lena przypomniała sobie, że nie ma nic do jedzenia i picia, a nie wiedziała, co zastanie na miejscu. – Ma pani może latarkę?

– Tak, zaraz podam. A jeśli mogę spytać... – Ciekawość wzięła górę. – Chce pani tam przenocować, czy tylko się rozejrzeć?

– Jeszcze nie wiem, ale na wszelki wypadek wezmę też latarkę.

– Jadę akurat w tamtym kierunku, więc mogę panią podwieźć. – Usłyszała za sobą niski, męski głos.

Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę niższego od niej o głowę. Nie był wcale niski, lecz przy bardzo wysokiej Lenie mógł wydawać się karłem. Miał na sobie zwykły T-shirt, który odsłaniał jego duże, silne przedramiona.

Kiedy była nastolatką, bardzo cieszyła się ze swojego wzrostu, ale z czasem zaczęła odczuwać jego wady. Mając sto dziewięćdziesiąt centymetrów, nie miała tak dużego wyboru partnerów jak przeciętna kobieta mierząca sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu.

– Niech się pani nie boi – powiedziała ekspedientka, widząc, że dziewczyna się zmieszała. – To miejscowy chłopak, ręczę za niego.

– Podwiozę panią tylko do pierwszej posesji, a dalej będzie musiała pani pójść sama – odezwał się ponownie.

Lena zapłaciła za zakupy i wyszła razem z nowo poznanym mężczyzną, który tak jak obiecał, podwiózł ją tylko do swojej bramy. Na szczęście z jego domu do domku ciotki było

bardzo blisko i po trzech minutach była już na miejscu. Bardzo ją zdziwiło, kiedy zobaczyła, że ta boczna uliczka była lepiej oświetlona. W Warszawie i w wielu innych miastach na pierwszym miejscu inwestowano w główne arterie, bo to przecież wizytówki.

No cóż, co kraj to obyczaj, pomyślała Lena, kiedy stanęła przy płocie, który zapewne pamiętał jeszcze czasy drugiej wojny światowej. Czarne, spróchniałe deski, niegdyś przybite pionowo, dziś co druga zwisała bezwładnie na jednym gwoździu. Bardziej pasowały do skansenu niż do zamieszkanego domu.

Weszła na podwórko przez uchyloną furtkę, a zardzewiały zawias zaskrzypiał ostrzegawczo. Dom był przytulony do ściany lasu, który zaczynał się tuż za ogrodzeniem. Od ulicy dzieliły go trzy, może cztery metry, a od strony sąsiadów osłaniała go murowana komórka, z jednym malutkim otwartym na oścież okienkiem. Nieco dalej, również po prawej stronie, zobaczyła

drewnianą stodołę, która wyglądała tak, jakby tylko wyczekiwała silniejszego podmuchu wiatru, by rozpaść się niczym domek z kart. Żeby dostać się do środka, dziewczyna musiała obejść dom od strony ogrodu.

Lena weszła do domu i zapaliła światło w przedpokoju, a po chwili w całym domu. Nie wierzyła swoim oczom. We wszystkich pomieszczeniach panował niesamowity bałagan, jakby ktoś czegoś tutaj szukał. Może oszczędności? Lena już wiedziała, że złodzieje nie znaleźliby żadnej gotówki, bo ta była przecież w banku. Jednak zawsze mogli ukraść jakąś biżuterię czy srebrne sztucce. Po wyjeździe z Warszawy udała się do rodzinnego Zamościa, by tam w kancelarii notariusza złożyć oświadczenie o przyjęciu spadku i przeczytać testament. Ciotka zostawiła jej trzydzieści pięć tysięcy złotych na koncie bankowym i tę posiadłość.

Usiadła w pokoju na krześle i wsłuchiwała się w ciszę, jakiej nie doświadczyła od lat. Żadnych

sąsiadów za ścianą, żadnych odgłosów z ulicy, tylko tykanie starego zegara, który wisiał na ścianie w dużym pokoju, i wiatr uderzający w szyby.

Całe wnętrze, czyli sypialnia, salon, kuchnia i łazienka przesiąknięte było stęchlizną. Lena nie mogła wytrzymać tego smrodu, więc uchyliła okna od strony podwórka, ale poprawa była niewielka.

W łazience zastała brudną i żółtą wannę, więc o kąpieli mogła zapomnieć. Brzydziła się tam wejść i nikt by jej do tego nie zmusił, nawet za spore pieniądze. Spojrzała w zaśniedziałe lustro, które ledwo odbijało jej twarz. Po krótkim odświeżeniu postanowiła przespać się w sypialni, ale w ubraniach i butach, w których tutaj do tarła. Na łóżku położyła kurtkę i dopiero wtedy to zauważyła.

Przy oknie stało dziecięce łóżeczko.

Czyli jednak ekspedientka miała rację – pomyślała Lena.

Przeszedł ją dreszcz, a jasne, delikatne włoski na przedramionach stanęły dęba. W tej samej chwili rozległo się przeciągłe skrzypnięcie.

Furtka! – pomyślała wystraszona. Podbiegła do okna w salonie, ale nikogo nie dostrzegła. Ulica była pusta. Żadnej sylwetki, żadnego ruchu.

I wtedy znowu to usłyszała. Cichy, kołyszący dźwięk, przypominający nienaoliwioną huśtawkę. Zmrużyła oczy, próbując dostrzec cokolwiek w mroku – światło latarni już tam nie dochodziło. Powoli jej wzrok przyzwyczajał się do ciemności i miała już stuprocentową pewność, że furtka była zamknięta.

* * *

– A ten co taki uprzejmy się zrobił? – zapytała zdziwiona ekspedientka, gdy klienci wyszli ze sklepu. – Widziałeś, Lucjan?

– Przecież to Wojtuś. Z nim nigdy nic nie wiadomo. Nie rozumiem tylko, czemu za niego

poręczyłaś. Ja bym sobie ręki nie dał uciąć, że nic jej nie zrobi. Bo mógłbym ją stracić.

– Co ty wygadujesz?! – krzyknęła matka i rozejrzała się nerwowo na boki, jakby ktoś mógł ich podsłuchiwać. – Co niby ma jej zrobić? Może i jest lekko upośledzony, ale to niegroźny dzieciak.

– No właśnie, upośledzony i nieobliczalny. I jaki dzieciak, mamó? On ma już trzydzieści cztery lata! Pamiętam, jak kiedyś w wakacje, po skończonej podstawówce, graliśmy w piłkę. Brakowało nam jednej osoby, a on siedział za bramką, więc go zawołaliśmy. Zgodził się, stanął na bramce... i w pewnym momencie się zawiesił.

– Co masz na myśli?

– Zapatrzył się gdzieś na ulicę. Ktoś z przeciwników strzelił gola, a on w ogóle nie zareagował. Jakby postawić w bramce worek kartofli. Krzyczeliśmy na niego, ale nic do niego nie docierało. Stał z mordą wykrzywioną w jedną stronę i gapił się gdzieś w dal. Głowacki do niego

podszedł, próbował coś powiedzieć, ale Wojtuś był jak zahipnotyzowany. Głowa go szarpnęła i wtedy się zaczęło.

– Co zrobił?

– Ryknął. Ale tak, że wszyscy zamarli. A potem uderzył Bartka. Głowacki padł, a Wojtuś zaczął go kopać. Podbiegło trzech chłopaków, bo myśleli, że go powstrzymają, a on jakby szalu dostał. Rzucał nimi po boisku jak szmatami. Reszta z nas uciekła.

– A tobie coś zrobił? Dlaczego mi nigdy o tym nie powiedziałeś? Przecież on mógł was tam zabić! Poszłabym do jego rodziców!

– Daj spokój. Właśnie dlatego nic nie mówiłem. Po wszystkim po prostu się uspokoił. Pobił czterech i jakby nigdy nic, odszedł. Nie biegał za nami, nie krzyczał. Poszedł sobie spokojnie.

* * *

Barbara Rogalczyk właśnie smażyła naleśniki, kiedy zobaczyła przez kuchenne okno, że podjeżdża auto Wojtka. Krople deszczu ściekały po szybie, ale mimo tego dostrzegła, że z samochodu wysiadła jakaś kobieta. Szczupła, wysoka, z kapturem na głowie i walizką w ręce.

Wojtek otworzył bramę i wjechał na podwórkę, ale zanim zdążył dojść do drzwi, matka już czekała w progu z pytaniem na ustach.

– Kogo podwoziłeś?

Wojtek zdjął buty i schował je do szafki, mimo że były mokre. Przez chwilę milczał, jakby sam nie był pewien, co odpowiedzieć.

– Dziewczynę spod sklepu – rzucił w końcu.
– Szukała domu Górniakowej.

Matka zmrużyła oczy.

– W taką pogodę, po co?

Ojciec spojrzał znad gazety.

– Ludzie mówią, że Górniakowa zostawiła komuś spadek. Może to właśnie jej? Gadałeś z nią? – zwrócił się do syna.

– Słyszałem, jak mówiła Michalczewskiej, że stara wariatka była jej ciotką. – odpowiedział Wojtek.

Matka przysiadła na boku sofy, jakby usłyszała coś niewłaściwego.

– Przecież ona całe życie mieszkała tutaj sama. Nie miała żadnych dzieci, wnuków, rodziny. Nikt nigdy jej nie odwiedzał. Skąd się wzięła ta dziewczucha?

– Nie wiem. Na oko mogła mieć trzydzieści lat. Nawet ładna. Szukała domu w taką pogodę, więc zlitowałem się i podwiozłem ją. To wszystko.

– Ksiądz mówił, że testament rzeczywiście był – dodał ojciec. – Ale nie znał nazwiska tej kobiety. Powiedział tylko, że Górniakowa wszystko zapisała jednej osobie. I że podobno to nikt ze wsi, zatem wszystko się zgadza.

– To co my teraz zrobimy? Opuścimy? Wczoraj niczego w tym domu nie znaleźliśmy, ale nie szukaliśmy dokładnie – powiedziała kobieta.

Wojtek usiadł ciężko przy stole.

– Jak jechaliśmy, to zagadałem ją i powiedziałam, że zostaje na kilka dni. Chce się rozejrzeć i uporządkować rzeczy. Wystawi dom na sprzedaż i pojedzie z powrotem do miasta.

– Musimy tam wejść jeszcze raz – weszła mu w słowo matka.

– Wy naprawdę wierzycie, że ten skarb istnieje? Przecież Górniakowa mogła go sobie wymyślić, tak jak to dziecko. Poza tym, jak niby chcecie tam wejść? Teraz ta dziewczyna jest właścicielką i ona tam zamieszka. Wcześniej, jak dom stał pusty, to co innego...

– Tata ma rację – powiedział Wojtek.

– A co, zakochałeś się w niej już? Motyle w brzuchu ci latają po jednym kursie spod sklepu? Zamiast za gałkę od skrzyni biegów, złapałeś za jej kolanko? – Matka zaśmiała się. – Już cię skarb nie interesuje? Wczoraj szukałeś jak szalony, a dzisiaj tak szybko odpuszczasz? Dobrze wiesz, że stara od roku gadała o swoim skarbie.

– O co ci, do cholery, chodzi?! – Uniósł się chłopak, który mimo swojego wieku wciąż mieszkał z rodzicami. Nikogo z miejscowych to nie dziwiło: uważali, że brakuje mu piątej klepki. Niektórzy twierdzili nawet, że piątej i czwartej. Rodzice jednak nie widzieli w nim niczego głupiego. Ot, Wojtek jak Wojtek, ukochany synuś.

– Nie tym tonem! – krzyknęła gospodyni.
– Podejdz jutro do niej, Wojtek, i zagadaj niby od niechcenia, ale dowiedz się o niej wszystkiego – powiedziała spokojniejszym głosem.
– To jest jakieś dziwne, że stara Górniakowa zapisała jej spadek. Musimy się o niej czegoś dowiedzieć.

– Nie chcę tego słuchać – powiedział mężczyzna, a następnie wstał i wyszedł z pokoju.

Czuła, że dom jest obcy, a jednocześnie należał już do niej i tylko do niej. Te wszystkie

rzeczy, które jeszcze tydzień temu dotykała kobieta, o której nic nie wiedziała, teraz były jej. Postanowiła, że wszystko dokładnie umyje, bo drugiej nocy w tym śmierdzącym domu nie wytrzyma. Od przekroczenia progu czuła stęchliznę, kurz, zapach starych materacy, pleśni, a może nawet i śmierci.

Podjęła już przecież decyzję o nocowaniu w tym miejscu, więc teraz trzeba zasnąć, a rano pomyśleć, co dalej. Zegarek pokazywał dwudziestą pierwszą trzynaście. Taksówka do Zamościa kosztowałaby tyle, co połowa jej pensji. A właściwie byłej pensji. Cieszyła się, że testament był jednoznaczny. Cały majątek po ciotce został przepisany wyłącznie na nią, a brat został pominięty.

Przynajmniej tyle, pomyślała.

Lena pokłóciła się na noże ze starszym o sześć lat bratem. Kiedy była na piątym roku studiów, zmarła im matka, a rok później dowiedziała się, że została wymeldowana ze swojego domu

rodzinnego, który został sprzedany. Do dzisiaj nie wie, jak on to zrobił. Albo miał kogoś w urzędzie, albo podrobił pisma. Któregoś dnia usłyszała od niego: „wyprowadziłaś się do Warszawy, zapomniałaś o nas. Ja tu byłem, opiekowałem się nią do końca. Nic ci się nie należy”. Od dawna ze sobą nie rozmawiali i pewnie długo jeszcze nie będą. Szymon przejął mieszkanie, sprzedał je i nie dał jej nawet grosza.

Była już zmęczona, od rana była na nogach. Najpierw pojechała do pracy, później z pracy do domu, następnie wyjazd do Zamościa do adwokata na odczytanie testamentu, a na koniec autobus do tej małej, zapomnianej przez Boga miejsciny. Nic dziwnego, że zasnęła od razu, jak tylko położyła się w łóżku.

Lena Zajączkowska niespodziewanie dziedziczy stary dom po ciotce w Orkowie, małej miejscowości niedaleko Szczeczeszyna.

Już pierwszej nocy spędzonej w domu zmarłej ciotki dzieją się niepokojące rzeczy. Z powodu braku kontaktu z Leną, jej przyjaciółka Grażyna zgłasza sprawę na policję.

„Skarb” to mini powieść kryminalna, trzymająca w napięciu do ostatniej strony.

**POLECAMY
RÓWNIEŻ:**



DARK BOAT